Roger Dee

Potworna bestia

(Rough Beast)

`

Analog, March 1962
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

Całą kolekcję tłumaczonych przeze mnie utworów SF znaleźć można pod adresem:
http://archive.org/search.php?query=subject%3A%22WB_kolekcja%22&sort=-publicdate

Pole doświadczalnej stacji Telemyśli na Florida Keys, przyciągnęło uwagę uciekającego Morida, właśnie w chwili gdy jego skradziona federacyjna szalupa, zanurzyła się w zewnętrzne warstwy atmosfery po nocnej stronie Ziemi.

Morid zareagował błyskawiczną decyzją, podobnie jak ścigany wilk, który natknął się na ciemną jaskinię, przynoszącą nie tylko bezpieczny azyl, ale także zbłąkaną owieczkę na kolację. Mając na karku ścigający go statek Federacji, depczący mu po szponiastych piętach, Morid wziął namiar na sygnały Telemyśli – rozmyte i niepojęcie obce dla jego prostego, brutalnego umysłu, ale wskazujące na istnienie w tym miejscu życia, a co za tym idzie pożywienia – i ruszył bezpośrednio w kierunku ich źródła.

Szalupa wpadła na łeb na szyję w namorzyny otaczające Dutchman's Key, może jakieś dziesięć mil od Nadmorskiej Autostrady i mniej niż dwie mile od stacji Telemyśli. Morid wynurzył się z wody w panicznym pośpiechu, spodziewając się w ciągu kilku najbliższych sekund wybuchu generatora mocy, i zniknął jak futrzasta, fioletowo-różowa błyskawica, w zalanych księżycowym blaskiem roślinnych gąszczach, które kłębiły się za porośniętym mangrowcami paskiem plaży. Morid uważał to za znaczący sukces.

Szalupa wyleciała w powietrze z potwornym hukiem i rozbłyskiem niebieskawego światła, który oderwał Vanna, dyżurującego operatora Telemyśli, od wyrafinowanego hełmu sterującego, przepełniając go panicznymi myślami o pociskach rakietowych, które wyrwały się spod kontroli. Wybuch niemal zupełnie oślepił i ogłuszył również Ellisa, jego partnera, krążącego na stacyjnej barce z przenośnym urządzeniem Telemyśli, po labiryncie ledwie widocznych nad powierzchnią wody wysepek, jedną czwartą mili od Dutchman's Key.

Ich jednoczesna konsternacja została przegapiona przez Morida, ponieważ obaj w tym momencie znajdowali się poza jego zachłannym zasięgiem. W przypadku bogactwa żywych stworzeń, rojących się na Dutchman's Key, było jednak już inaczej. Morid skierował się w głąb wyspy, wyczuwając obfite łowisko, będące w stanie nasycić podstawowe napędzające go uczucie – żarłoczny głód, zaś po zaspokojeniu tego łaknienia, oferujące szerokie pole dla jego żądzy mordu.

Ucieczka Morida, postawiła przed Xaxtolem, dowódcą statku Federacji, dylemat graniczący z nierozwiązywalnym.

Wystarczająco dużym złem byłoby już nawet zgubienie tak rzadkiego okazu na jakiejś opustoszałej planecie. Ale pojawienie się tego żarłocznego stwora na wolności, na planecie tak kipiącej życiem – jak wskazywały to prymitywne sygnały Telemyśli – oraz niespodziewanie pełnej istot inteligentnych, było czymś wręcz nie do pomyślenia.

To, od samego początku, było problemem Xaxtola.

Pod rygorem najbardziej fundamentalnych praw i nakazów w Galaktyce, nie wolno mu było lądować na planecie i zakłócać rozwoju wcześniej niewykrytej prymitywnej cywilizacji. Z drugiej strony natomiast, żaden cywilizowany system etyczny nie wybaczyłby mu pozostawienia takiej niczego niepodejrzewającej cywilizacji, na łasce krwawych żądz Morida, bez podjęcia choćby próby naprawy popełnionego błędu.

Wisząc na orbicie stacjonarnej, aby utrzymać stałą pozycję względem miejsca lądowania Morida, federacyjny dowódca gorąco dyskutował ze swoimi ludźmi, aż do chwili, kiedy nagłe ożywienie barbarzyńskiej sieci Telemyśli, uczyniło konieczność podjęcia działań czymś absolutnie niezbędnym.

Dwóch autochtonów było odizolowanych na niewielkiej wyspie, razem z Moridem. Jeżeli nie zostaną ostrzeżeni, są skazani na zagładę.

Zebrał więc swoich ludzi wokół siebie – siedzących, kucających, zwiniętych albo unoszących się, zgodnie z indywidualnym życzeniem każdego z nich – i jako jedną jaźń wprowadził całą grupę w kontakt z niemal zupełnie bezsensownymi sygnałami, wyrzucanymi ze stacji Telemyśli na Florida Keys.

I robiąc to, wzbudził konsternację niemal równie wielką, jak jego własna, zaś nieskończenie bardziej piorunującą.

Rozbłysk oderwał Vanna od konsoli Telemyśli. Wybiegł ze zbudowanego z prefabrykatów budynku stacji i wstrząśnięty wpatrywał się w gąszcz namorzynowych wysepek na zachodzie. W chwilę później także Weyman wyskoczył na dwór w pełnym biegu, wyrwany ze snu przez rozdzierający huk eksplozji. Stali razem na rozjaśnionym blaskiem księżyca piachu, a Vann przekazał koledze wszystkie posiadane przez siebie informacje w czterech krótkich słowach.

— To walnęło gdzieś tam — oznajmił Vann.

Blada, różowawa chmura dymu i pary wodnej, świecąca fosforescencyjnym blaskiem, wzbijała się coraz wyżej dryfując w stronę niewinnego księżyca.

— Dwie wyspy dalej — zauważył Weyman. — To pewnie Dutchman’s Key, tam gdzie mieszka samotnik.

Vann skinął głową, nabierając minimalnej pewności siebie z faktu, że nie było widać grzyba.

— To chyba raczej nie była atomówka.

Z zachodu wiała stała bryza Zatokowa, niosąca ze sobą odwieczny zapach soli i namorzyn.

— Geigery wkrótce nam wszystko wyjaśnią — powiedział Weyman. — Niezbyt wiele to nam pomoże, skoro Ellis wypłynął na barce.

Popatrzyli na siebie nawzajem, tknięci nagle jedną wspólną myślą.

— Barka — wykrztusił jako pierwszy Vann. — Ellis wypłynął tam z przenośnym masztem Telemyśli. Mieliśmy opracowywać współczynniki siły pola dla sprzętu osobistego …

Rzucili się obaj do baraku stacji. Vann, drobniejszy i bardziej zwinny niż stateczny Weyman, dopadł do konsoli Telemyśli jako pierwszy.

— Nic, tylko regularna fala nośna gotowości z Waszyngtonu — poinformował Vann. — Ellis mógł się znaleźć bezpośrednio pod tym cholerstwem, kiedy tam uderzyło. Miał się kierować właśnie w stronę Dutchman's Key, mając nadzieję na spotkanie z samotnikiem.

— Może nie miał na sobie założonego nadajnika Telemyśli, kiedy nastąpił wybuch — powiedział Weyman. A potem z charakterystycznym dla niego zmysłem praktycznym: — Lepiej dajmy o tym znać do Waszyngtonu, czekając na zgłoszenie się Ellisa. Nie możemy użyć sieci radiowej – moglibyśmy wywołać panikę.

Vann usadził się przy konsoli.

— Ja spróbuję. To jest, jeśli uda mi się przebić z czymś więcej, niż ten podprogowy szajs, jaki wymienialiśmy ostatnio.

Wysłał sygnał do nawiązania kontaktu i poczuł jak operator z Waszyngtonu odpowiada mu falą podświadomej niechęci z powodu zawracania mu głowy. Po nawiązaniu połączenia, spłynęło na niego znajome uczucie zawrotu głowy częściowego porozumienia, wraz z uciążliwym wrażeniem dzielenia się ciałem.

Poczuł nagle w ustach napływ śliny i z trudem oparł się chęci splunięcia.

— W Waszyngtonie mają właśnie północną przekąskę — stwierdził Vann. — Zgniłe sardynki i limburger, jak sądzę.

Poprawił się, gdy operator z Waszyngtonu przesłał uczucie oburzenia.

— Niech będzie, że gęsie wątróbki i pikle w koperku, ale nigdy byś się tego nie domyślił. Sól smakuje jak mosiężne opiłki.

Weyman przerwał mu krótko:

— Daj już spokój. Pobłaznujesz sobie kiedy indziej.

Vann zwizualizował rozbłysk eksplozji i aż się skrzywił, na paniczne przypuszczenie w formie sierpa-i-młota, które otrzymał w odpowiedzi.

— A skąd ja mam wiedzieć? — oznajmił na głos. — Mamy tam człowieka…

W tej samej chwili przypomniał sobie o nieodłącznych ograniczeniach fonetyki, i wrócił do poziomu obrazu, formując w głowie wyobrażenie barki Ellisa kierującej się w stronę wyspy rozświetlonej ponurym blaskiem eksplozji. Dla efektu, na malutkiej plaży wysepki dodał, całkowicie wyimaginowaną chatę z przyniesionego przez wodę drewna, uzupełnioną przez postać brodatego samotnika.

Zorientował się natychmiast, kiedy na drugim końcu połączenia, pojawiły się władze. Nastąpił napływ mentalnych konwersacji, który oznajmił mu rozkazy dla niego, jeszcze nawet zanim operator w Waszyngtonie zdołał je w pełni przekazać.

— Żądają bezpośredniego świadectwa oczu Ellisa — powiedział Weymanowi. — Tak jakby…

W tej właśnie chwili, do sieci wdarł się Ellis, przekazując zamglony obraz – ciągle jeszcze był częściowo oślepiony przez rozbłysk wybuchu – rozciągającej się w pobliżu wysepki, nad którą zwisał kurczący się obłok różowawego dymu. Na tle laguny i mangrowców, widać było stojącą na

palach chatę, dosyć podobną do tej zobrazowanej przez Vanna, ale bez samotnika.

Zamiast rachitycznego pomostu krytego strzechą ganku, widać było plamę demonicznej ciemności, rozjaśnianej jedynie przez parę skośnych, żółtych oczu, gorejących tuż nad podłogą.

Jakby wczuwając się atmosferę, w tej samej chwili do sieci wszedł Xaxtol, z impetem całości informacji na raz, co przekraczało możliwości ludzkiej psychiki, uwarunkowanej przez lata korzystania z komunikacji głosowej, do myślenia szeregowego.

Operator w Waszyngtonie wrzasnął i zerwał z głowy hełm, domagając się żeby dać mu spokój, do czasu aż zdoła się pozbierać na tyle, aby był w stanie przekazać odebraną wiadomość.

Ellis na barce zemdlał i padł nieprzytomny, wpadając łodzią prosto w ląd, w plażę Dutchman's Key.

Vann zwinął się w swym fotelu, miotając się między szokiem i obłędem, aż dopiero Weyman złapał go i ściągnął mu z głowy hełm Telemyśli. Minęło kilka minut, zanim Vann był w stanie cokolwiek powiedzieć; a kiedy już zaczął mówić, z jego ust popłynęła przerażająca i plastyczna relacja, którą Weyman uznał za bardziej przekonującą, niż jakikolwiek opis dramatyczny w przeszłości.

— Przylecieli — oznajmił Vann. — W kosmosie znajduje się statek międzygwiezdny, z ponad tysiącem członków załogi, a każdy z nich spowodowałby koszmary nawet u samego Dali.

Weyman musiał potrząsnąć nim z całej siły, zanim Vann był w stanie mówić dalej.

— Jest im bardzo przykro, ale nie mogą wylądować i nam pomóc — opowiadał Vann. — Zdaje się, że chodzi o jakieś regulacje Galaktyczne. Ale uznali, że powinni nas ostrzec, że zgubili jakiegoś strasznie krwiożerczego potwora z dżungli – okaz przewożony przez nich do międzyplanetarnego zoo – który uciekł w szalupie ratunkowej. Jest na wolności, tutaj na powierzchni.

— Dutchman's Key — wysapał Weyman. — Jakie bydlę byłoby w stanie przeżyć taką eksplozję?

— Uciekł z szalupy zanim wybuchł generator mocy — wyjaśnił Vann. — Potrafią wyśledzić jego aurę. Jest do pewnego stopnia inteligentny – jak rozumiem, mniej więcej na równi z nami — i jest duży. To największa i najbardziej bezwzględna istota żywa, jaką ich rasa napotkała w trakcie kilo-lat handlu między gwiazdami.

Zastanawiał się przez chwilę nad pojęciem kilo-lat, niedostosowanym do aparatu słownego.

— Dłużej niż tysiące. Ich cywilizacja rozciąga się tak daleko w przeszłość, że pojęcie to nie ma swojego odpowiednika.

— Ellis — powiedział Weyman. — Powiedz mu, żeby stamtąd odpływał. Każ mu trzymać się z daleka od tej przeklętej wyspy.

Vann wcisnął na głowę hełm Telemyśli i poczuł prawdziwą panikę, kiedy stwierdził, że sieć jest pusta, poza bliskim popadnięcia w histerię operatorem z Waszyngtonu.

— Obcy zeszli z anteny — rzekł. — Ale nie mogę wyczuć Ellisa.

— Może nie ma na sobie hełmu. Spróbuję skontaktować się z barką przez radio.

Trzymał właśnie w ręku mikrofon, kiedy Vann przekazał.

— W Waszyngtonie również odebrali wiadomość, ale ich zupełnie oszołomiło. Poprosiłem o helikopter, żeby zabrać Ellisa – i samotnika, jeżeli uda się do nich dotrzeć zanim zrobi to ten potwór – ale oni myślą o czymś zupełnie innym. Wysyłają eskadrę bombowców odrzutowych z niejądrowymi HE, żeby się upewnić, że bestia nie ucieknie na kontynent i nie zacznie dewastować terenów wiejskich.

Weyman powiedział z niedowierzaniem:

— Rozwalą tę wysepkę na kawałki. A co z Ellisem i samotnikiem?

— Ellis ma go ewakuować, jeśli będzie to możliwe. Dają nam dwadzieścia minut, zanim dotrą tu odrzutowce. Potem…

Nie musiał kończyć.

W środku nocy stary Charlie Trask brodził po kolana w wodzie, na trawiastej mieliźnie po wschodniej stronie swej prywatnej laguny, metodycznie wyławiając siatką krewetki, próbujące uciekać w obszar zmąconego mułu, który wzbiły w wodę jego zniszczone, szurające buty. Przez jedno ramię miał przewieszony pusty jutowy worek, naszykowany na ostrygi, które spodziewał się znaleźć w korzeniach mangrowców, w drodze powrotnej do swojej chaty.

Na swój uparty i antyspołeczny sposób, Charlie był zadowolony. Miał już niemal tyle krewetek, żeby wystarczyło mu do gotowania, oraz na przynętę, z perspektywą gulaszu z ostryg w najbliższej przyszłości. Miał tytoń do fajki, naboje do swej jednostrzałowej strzelby kaliber .22 i bańkę mocnego samogonu, gotowego do butelkowania.

Czego więcej potrzeba do życia mężczyźnie?

Wybuch i rozbłysk lądowania Morida na zachodnich obrzeżach jego wysepki, wyrwał Charliego z przyjemnego nastroju, jak grom z jasnego nieba. Fala uderzeniowa zagrzechotała wszystkimi zębami, jakie mu jeszcze pozostały i przyniosła mu z oddali do uszu wrzask wściekłości jego kota, poznaczonego bliznami, cynicznego, starego kocura o imieniu Max, który został w chacie.

Przeklęte rakiety, była to pierwsza myśl Charliego. Bawią się nimi, aż w końcu wysadzą nas wszystkich w diabli.

Różowa fosforyzująca chmura unosząca się w górę ponad mangrowcami, jakieś ćwierć mili dalej, zabarwiła jego oburzenie niepokojem. Taki wybuch mógł wywołać pożar, który pokona całą wysepkę i pożre jego chałupę.

Gderając z niezadowoleniem, na przerwanie swojej nocnej wyprawy, Charlie zamknął dokładnie pokrywę kubełka na krewetki i pomaszerował przez lagunę z powrotem w stronę chaty. Ostrygi będą musiały poczekać.

Pięć minut później dotarł w pobliże swego osobistego zamku, przycupniętego na chwiejnych słupach, na polance wyrąbanej w mangrowcach. W blasku księżyca, według Charliego, jego siedziba wyglądała prześlicznie, cała w czerni i srebrze, z żółtymi ślepiami Maxa jarzącymi się na ganku, jak złowrogie lampy powitalne.

Ciągle mrucząc pod nosem, Charlie wygramolił się z płytkiego wodnistego mułu i w cmokających butach, wdrapał się po drabince do chaty. Kubełek z krewetkami powiesił na kołku na ścianie, poza zasięgiem kombinującego Maxa. Znalazł w kuchni swoją fajkę, napełnił ją i zapalił, powoli i starannie, ponieważ nie czuł potrzeby pośpiechu. Garnek z samogonem bulgotał kusicielsko, tak że zrobił sobie krótką przerwę, aby podnieść brudną ścierkę, która go przykrywała i powąchać z uznaniem jego zawartość.

— Do czasu kiedy wrócę i przejrzę krewetki, będzie gotowy do zakorkowania — powiedział Maxowi.

Zmienił swoje ociekające wodą kapcie na wysokie buty zabezpieczające przed wężami i zdjął z kołków swoją dwudziestkędwójkę, nie dlatego by tak naprawdę podejrzewał, że ktokolwiek mógł przeżyć taki wybuch, ale ponieważ obcy – na przykład ci goście od radia, dwie wysepki na wschód – mogliby sobie wbić do głowy, aby przypłynąć tu na przeszpiegi.

Był już w połowie drogi przez wysepkę, kiedy warkot barki Ellisa wpływającej do laguny, potwierdził jego podejrzenia.

Dochodzenie Charliego szybko się zakończyło.

Słabnący wachlarz dymu, wznoszący się z kręgu poszarpanych mangrowców, powiedział mu, że nie ma niebezpieczeństwa rozprzestrzenienia się ognia, i zawrócił z ulgą. Nie przyszło mu do głowy, że pilot jego hipotetycznej rakiety mógłby leżeć ciężko ranny w płytkiej wodzie, na łasce rekinów i krokodyli. Gdyby nawet tak było, nie ruszyłby mu na pomoc. Zgodnie z prymitywną filozofią Charliego, każdy głupiec, który władował się w takie kłopoty, powinien wydostać się z nich samemu.

Kiedy dotarł z powrotem do swej chaty, warkot silnika barki odbijał się już głośnym echem w jego uszach. Łódź, prowadzona przez jakiegoś groteskowego sternika w czymś co Charlie początkowo wziął za hełm nurka, kierowała się prosto na ląd, z niebezpieczną szybkością.

— Będzie miał za swoje, jeśli właduje się w ławicę ostryg i rozerwie sobie dno — skomentował Charlie.

Tak jakby w reakcji na wskazówkę, łódź ostro skręciła. Jej sternik uniósł się na w pół wyprostowany, z rozrzuconymi szeroko rękoma, w konwulsyjnym geście. Silnik dziko zaryczał; łódź przechyliła się ostro, rzucając znajdującym się w niej człowiekiem o prawą okrężnicę i pomknęła prosto na chałupę Charliego.

Cudownie nie trafiła w żaden ze słupów chaty i wbiła się do połowy swojej długości w piach na plaży. Ryk silnika urwał się jak nożem uciął. Sternik został wyrzucony na łeb na szyję ponad burtą. Jego fikuśny hełm poleciał gdzieś w powietrzu, a on sam wylądował oszołomiony u podnóża drabinki Charliego.

Charlie bezdusznie zrobił krok nad skręconą postacią Ellisa i wspiął się po drabince do chaty. Max, który na widok wypadku łodzi wskoczył na dach ganku, miaucząc, ostrożnie zszedł mu na spotkanie.

— Już dobrze — uspokoił go Charlie. — To tylko jakiś głupiec, który nie potrafi sterować łodzią.

Oparł strzelbę o ścianę i przyniósł sobie bambusowe krzesło z kuchni. Nie było jeszcze za późno. Kubełek, kiedy zdjął go z kołka, ciągle jeszcze mile podrygiwał od żywych krewetek.

Skrzeczenie radia barki, obudziło Ellisa. Jęknął i usiadł prosto, ciągle jeszcze oszołomiony i zdezorientowany przez połączony szok po telepatycznej bombie Xaxtola oraz własnym twardym lądowaniu na wyspie. Chwilę wcześniej Weyman zrezygnował z dalszych prób nawiązania kontaktu radiowego. W ciszy, jaka zapadła, Ellis pewnie by znowu zemdlał, gdyby nie mrożąca krew w żyłach świadomość, że znalazł się nieuzbrojony, bez środka transportu, na jednej wysepce z ludożerczym potworem z kosmosu, który w każdej chwili mógł się tu pojawić.

Zebrał siły i energię, żeby otrząsnąć się z ciemnej chmury szoku, która nadal mu zagrażała.

— Schodź tu na dół i pomóż zepchnąć tę barkę na wodę — zawołał na Charliego Traska. — Musimy się wynosić z tej wyspy. Szybko!

Charlie wybrał z kubełka krewetkę o idealnym do jedzenia rozmiarze.

— Sam ją władowałeś na ląd — oznajmił kwaśno, — sam sobie ją spychaj.

— Posłuchaj — desperacko próbował przekonać go Ellis. — Ten wybuch, to był statek kosmiczny, z innego układu gwiezdnego. Uciekło z niego dzikie zwierzę, coś co ci się nawet w najgorszych koszmarach nie śniło. Musimy stąd uciekać, zanim ono nas znajdzie.

Charlie chrząknął i wybrał następną krewetkę.

Morid, stanął jak żywy przed oczyma pamięci Ellisa, tak jak go zwizualizował Xaxtol, z ogromnymi kłami, kudłaty, nienasycenie żarłoczny, fioletowo-różowy niedźwiedziowaty stwór, wcielona żądza krwi, potęgowana jeszcze przez niemal ludzką inteligencję.

Opisał go Charliemu w szaleńczym pośpiechu, ze wzrokiem utkwionym w plątaninie naziemnych krzewów, rosnących za chatą.

— Na tych wysepkach nie ma takiego stwora — odparł stary Charlie.

Radio na barce ryknęło ponownie głosem Weymana, przekazując pośpiesznie informacje o bombowcach i terminie. Jeden rzut oka na zegarek poderwał Ellisa z ziemi, z energicznym zdecydowaniem.

— Za dwanaście minut — oznajmił ponuro — eskadra samolotów weźmie na cel tę wysepkę i zmiecie ją z powierzchni wody. Nie mam zamiaru dać się pożreć żywcem, albo zostać rozerwanym na kawałki, marnując czas na dyskusję z tobą. Jeżeli nie uda mi się zepchnąć łodzi samemu, odpłynę stąd wpław.

Złapał leżący hełm sterujący Telemyśli i pobiegł do barki. Przy czwartym kroku, jego stopa zawadziła o twardy jak skała pieniek po mangrowcu, który został ścięty kilka cali powyżej piasku, i upadł z hukiem jak długi. Ból niemal go oślepił. Jego prawą kostkę przeszyła szpila ognia, a potem cała mu odrętwiała.

Spróbował się podnieść i upadł ponownie, kiedy kostka załamała się pod nim.

— Do diabła! — zawołał tuż przedtem, zanim po raz drugi ogarnęła go ciemność. — Złamałem sobie nogę!

Kiedy Ellis się obudził, jego dwadzieścia minut skurczyło się do siedmiu. Próbował wstać, zapomniawszy na chwilę o wykręconej kostce, ale zrezygnował gdy namorzyny zaczęły krążyć mu szaleńczo przed oczyma. Nie mógł sobie pozwolić na kolejne omdlenie.

Spróbował po raz ostatni rozpaczliwie uzyskać pomoc.

— Mam złamaną nogę — wrzasnął na starego Charliego Traska. — Zejdź tu na dół i podaj mi rękę!

Charlie tylko groźnie popatrzył i nawet się nie odezwał.

Max popędził na dół po drabinie, trzymając sztywno wyprostowany ogon i strzygąc pokiereszowanymi uszami w stronę zarośli, ze złowrogim zainteresowaniem

— Ten stwór nadchodzi stamtąd — zawołał Ellis. — Twój kot go zwietrzył. Czy chcesz nas wszystkich pozabijać?

Charlie Trask obejrzał kolejną krewetkę.

Klnąc zaciekle, Ellis wziął swój hełm Telemyśli i nasunął go na głowę. Znalazł sieć w bezładnym zamieszaniu. Waszyngton domagał się dalszych informacji; Vann, na stacji, szaleńczo usiłował go wywołać. Jego własne rozpaczliwe obrazy wzywające pomocy, tylko powiększały myślowy rozgardiasz.

Na statku Federacji, zamieszanie doszło niemal do poziomu szaleństwa.

Dylemat Xaxtola nadal obowiązywał: nie mógł wylądować na planecie – a w każdym razie i tak nie było już czasu na udzielenie pomocy – nie mógł jednak również, z czystym sumieniem obywatela Galaktyki porzucić udręczonych tubylców na dole, dopóki pozostawał choćby cień nadziei.

Kłopoty Ellisa zmuszały Xaxtola do podjęcia decyzji; mógł tylko śledzić aurę Morida i przekazywać informacje o jego przemieszczaniu się.

Nic nie mógł poradzić na to, że przekazywany obraz był niejasny znaczeniowo i dziwacznie wykoślawiony; zakres wzrokowy i słuchowy Morida różnił się tak bardzo zarówno od ludzkiego, jak i Galaktyków, że nawet na statku z cudownie selektywnym telekomunikatorem, niewiele tylko z bezpośredniego otoczenia Morida, przechodziło przez niego wyraźnie. Aura zwierzęcia docierała z tak palącą intensywnością, że doprowadzała Xaxtola i jego grupę niemal do omdlenia z empatycznego przerażenia, ale fakt dokonania właśnie przez Morida jego pierwszego

zabójstwa, przesłonił chwilowo wszystkie inne kwestie, poza wstrząsającym zamętem krwi i rozdzieranego ciała.

Ellis poradził sobie nieco lepiej z drugim telepatycznym rozbłyskiem, niż z pierwszym – udało mu się zerwać z głowy hełm Telemyśli, dokładnie w samą porę.

— Ten stwór właśnie coś tam zabił! — wrzasnął na Charliego Traska. — Nadchodzi tu. Czy masz zamiar tak tam siedzieć i…

Charlie wybrał ostatnią krewetkę do jedzenia, zabrał swój kubełek i wszedł do środka. Wokół niego, w nieruchomym gorącym powietrzu, unosiły się butelki samogonu, przyjemnie pobrzękując, wyraźnie, czysto i melodyjnie.

Ellis spojrzał na zegarek i zaczął zastanawiać się nad modlitwą. Pozostało mu jeszcze trzy minuty.

Kiedy pojawił się Morid, Ellis siedział na piasku w odrętwieniu, chuchał na swoją złamaną kostkę, zastanawiając się, bliżej nieokreśloną, oderwaną pod wpływem wstrząsu częścią umysłu, nad urywkiem wersu jakiegoś dawno zapomnianego wiersza ze szkolnych czasów[1].

„I cóż za potworna bestia…” reszta mu uciekła.

Poszycie za chatą zaszeleściło i obraz żarłocznego Morida wskoczył do umysłu Ellisa z wyrazistością, która wstrząsnęła pozostałymi trzema uczestnikami połączenia sieciowego, aż do szpiku kości – a jednym z nich nawet poza granice jego wytrzymałości.

Na stacji, Vann wyszeptał „Boże drogi” i napiął mięśnie, czekając na koniec. Operator w Waszyngtonie zemdlał i trzeba go było wyciągnąć zza konsoli.

Na pokładzie statku Federacji Xaxtol wyemitował tylko wstrząśnięte „Dosyć!” i nacisnął macką przycisk który posłał jego pojazd w podprzestrzeń, z najwyższą szybkością.

W chacie Charliego Traska, Max rzucił się przez polankę, a następnie wskoczył w zarośla. Potem miała miejsce pełna pisków i wrzasków kotłowanina, która wyrwała Charliego biegiem z jego chałupy. Ellis siedział otępiały za chatą, czekając na najgorsze.

Niespodziewanie, najgorsze się opóźniało.

Charlie wrócił, niosąc protestującego Maxa za kark, i rzucił coś pod nogi Ellisa. Coś małego, zwiotczałego, o fioletowo-różowym futrze spryskanym zielonkawą krwią, i bardzo, bardzo martwego.

— No to, mamy tego twojego hultaja — oznajmił Charlie.

Mając jedną minutę do wyznaczonego terminu, pojawienia się nad wyspą bombowców, Ellis z lodowatą klarownością, o której wcześniej nawet nie marzył, że kiedykolwiek zdoła ją uzyskać, wysłał ostatnią wiadomość zanim ponownie zemdlał.

— Odwołać odrzutowce — tak jakby powiedział. — To koniec. Bestia jest martwa. Kot samotnika ją zabił.

---

[1] William Butler Yeats, The Second Coming (Drugie przyjście) (przyp. tłum.)

Godzinę później, na stacji, siedząc z obandażowaną kostką i trzecią z kolei filiżanką kawy w ręku, Ellis był w stanie nieco spójniej zebrać razem wszystko, co się wydarzyło.

— Nie wzięliśmy pod uwagę kwestii względnych różnic w rozmiarach — stwierdził. — Tak samo, jak nasi Galaktyczni przyjaciele. Najwidoczniej są oni bardzo mali, tak samo jak gatunki, które do tej pory napotykali. Niewykluczone, że jesteśmy czymś wyjątkowym we wszechświecie. I chyba dobrze, że jednak nie wylądowali u nas, żeby się przekonać, jak wyjątkowym.

— Wszystko się zgadza — dorzucił Weyman. — Waszyngton przekazał właśnie przez radio, że stacje DF namierzyły ich statek kosmiczny, zanim wykonał skok. Miał tylko dwadzieścia dwie stopy długości.

Vann zauważył ze zdumieniem:

— A przecież na pokładzie były ich setki. Panowie, jesteśmy Brobdingnagami we wszechświecie Liliputów.

— Próbowałem — powiedział nieco nie na temat Ellis — przypomnieć sobie pewien wiersz, który czytałem kiedyś w szkole. Nie pamiętam jego autora ani całej reszty, poza jednym wersem. To idzie…

— „I cóż za potworna bestia…" — zacytował Vann. — Myślałeś o tym dosyć intensywnie, kiedy miała miejsce ta awantura w zaroślach. Obraz, jaki wyemitowałeś, był naprawdę potworny – zaparło nam dech w piersiach.

— Tak samo, jak i Galaktykom — dodał Weyman. — Przejęliśmy teraz pałeczkę, jak mi się wydaje.

Podszedł do drzwi baraku stacji, wyjrzał na zewnątrz, a następnie popatrzył w górę, nasłuchując.

— Silniki odrzutowe. Grube ryby z Waszyngtonu są już w drodze, żeby nas dokładnie przemaglować.

— Przejęliśmy pałeczkę? — powtórzył Vann pytająco. — Nie bądź taki tajemniczy, człowieku. Jaką pałeczkę?

— Ich — wyjaśnił za Weymana Ellis. — Nie rozumiesz? Pewnego dnia wyruszymy tam, w kosmos, żeby zająć należne nam miejsce w galaktyce. Przy naszych rozmiarach i usposobieniu, jak myślisz, jak będziemy wyglądać w oczach tych łagodnych, małych istot?

Vann gwizdnął z opóźnionym zrozumieniem

— Potwornie — przyznał.

KONIEC